Ner 11. Kraków 1 czerwca 1869. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycyja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński.

Listy należy adresować: „do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

Alfons Lamartine

SZKIC BIOGRAFICZNO-LITERACKI

przez

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

(Ciąg dalszy).

Zaledwie wrócił do zdrowia 1820 r., chciał sprzedać zbiór swych pierwszych poezji różnym paryzkim księgarzom. Po wielu odmowach znalazł wreszcie nakładcę. Tak tedy ukazały się „*Méditations poétiques*" *), z których w saméj Francji, nie licząc belgijskich i niemieckich przedruków, w przeciągu krótkiego czasu bo czterech lat, 45,000 egzemplarzy sprzedano. Rezultat ten najświetniejszy we Francji od czasu ukazania się Chateaubrianda „*Génie du christianisme*", otworzył Lamartinowi dyplomatyczną drogę. Jako *attaché* ambasady udał się 1821 do Florencji, poznał tutaj bogatą, młoda Angielkę Miss Marjannę Birch, która się w jego wierszach pokochała, i ożenił się z nią. Odtąd przemieszkiwał kolejno w Neapolu jako sekretarz ambasady, później z tym samym tytułem pewien czas w Londynie, wkońcu wrócił do Toskany jako ambasador. W tym czasie znaczny majątek jaki wziął z żoną, powiększył się spadkiem po bogatym wuju, oprócz tego ze swych utworów miał także wielkie dochody. Kiedy przy koronacji Karola X wydał wiersz „*Chant du sacre*", wrócił 1829 do Francji, a w maju tegoż roku ukazały się jego „*Harmonies poétiques et religieuses.*" W skutek tego poematu przyjęty został w grono czterdziestu akademików na miejsce Daru (1 kwietnia 1830) i miał właśnie jako pełnomocny minister wyjechać do Grecji, kiedy wybuchła rewolucja lipcowa. Nowy rząd chciał go potwierdzić na tém stanowisku, Lamartine jednak odmówił i usunął się od spraw publicznych.

„Kiedym wstępował w świat — mówi Lamartine — było ogólne zdanie, iż poezja, owa tajemnicza siła ludzkiego ducha, na zawsze upadła. Cesarstwo było wcieleniem zmaterjalizowanéj filozofji XVIII wieku. Panujący matematycy, którzy wonczas największy głos mieli a nas młodych lekceważyli, mniemali, iż już przytłumili całą boskość i melodyjność w ludzkiéj myśli. Byłto szatański śmiech złego ducha, któremu się udało zniweczyć całe pokolenie i zabić cnotę w świecie. Z tryumfem mówiono do nas: „„Miłość, filozofja, religja, natchnienie, wolność, poezja, wszystko to są czcze słowa. Rachuba i siła, liczba i szabla dzisiaj panują. Wierzymy tylko w to, co się da udowodnić, czujemy to co się da uchwycić. Poezja umarła wraz z spirytualizmem, z którego pochodzi."" — Z powrotem Burbonów poezja nowy wzięła kierunek; młodzież, która teraz na widownię wystąpiła, była nowém, lepszém pokoleniem. Poezja, z któréj pewien rodzaj duchowéj profanacji zrobił między nami na tak długo rafinowane kleszcze języka, nieurodzajną igraszkę ducha, przypomniała sobie o swym pierwiastku i swym celu. Elle renait fille de l'enthousiasme et de l'inspiration, expression idéale et mystérieuse de ce que l'âme a de plus éthéré et de plus inexprimable, sens harmonieux des douleurs ou des voluptés de l'esprit. Przedewszystkiém ludzka myśl poruszona została w swych głębiach iskrą religijną."

Skutek „*Dumań*" był natychmiastowy i stanowczy. Cała Francya unosiła się nad tym niezwyczajnym rodzajem, we wszystkich warstwach społeczeństwa czytano je, i powstała nadzwyczajna ilość poetów i poetek, którzy starali się go naśladować. Francuzi są wdzięczniejsi od nas. Cokolwiek później uczynił Lamartine, co uwłaczało jego chwale, nie zapomniano jednak o jego utworze, i zdawało się długo, że poeta „*Dumań*" wpływem i wrażeniem swych młodzieńczych uczuć stał się bezpiecznym przeciwko wszelkiéj napaści. Część tego skutku policzyć także należy na karb czasu. „*Dumania*" przedstawiają wyłącznie miłość, ale miłość, o któréj Francuzi dotąd wyobrażenia nie mieli. Znano tylko prędko wybuchającą, bezczelnie zmysłową miłość z małym dodatkiem cynizmu. Jeżeli Eleonora Parny'sa przypominała greckie miłostki, to przy delikatnéj, przezroczystéj postaci Elwiry trzeba było pomyśleć o chrześciańskich serafach, i zdawało się, że jéj braknie tylko skrzydeł, aby się mogła wznieść ponad tę ziemię, do któréj pozornie tylko należała. Miłość

*) Wyszły w przekładzie polskim p. t.: „*Dumania poety*" w Warszawie. 1837.

poety ograniczyła się tylko na uczuciu; ale świat marzeń i idei wynagrodził mu ten jego niedostatek, a miłość była mu środkiem wzniesienia się do nadprzyrodzenia i w śmiertelnym pomroku zaświtała mu myśl wieczności i nieskończoności. *Dumania* mają piętno rzucania się niespokojnéj duszy poety w świat, w uczucia, w widoki natury, w gwiazdy, w poświęcone i cierpiące stany: poety, kochanka, zakonnika, po których wydumaniu grzmi nowym hymnem wiary żegnając się lub modląc. Jestto jeszcze ciągła wędrówka z pieśnią, z myślą szukającą prawdy po górach, strumykach, jeziorach, nocą, rankiem, któréj jednością jest tylko jedność poczucia ostatecznego owéj prawdy, iż Bóg wszędzie i Bogiem wszystko. Poczyna autor dumy swoje odosobnieniem w samotności od świata i zbiera wrażenia, jakie mu to rozpamiętywanie podsuwa, a myśl jego przerzuca się z posłyszanego na świecie wielkiego imienia Byrona *) w ciche wspomnienia kochanki Elwiry; to znów widok wieczora go koi i dumać mu każe nad nieśmiertelnością. Ponieważ jednak wszelkie dumanie nad niepojętą rzeczą rozkołysać tylko może, ale nię uśpić gorejącéj duszy poety, tedy ucieka on z nią na pagórek rodzinny i chce się zabawić widokiem jego wód i ścieżek, obmyć z tęsknych wrażeń teraźniejszości. Tak z myśli w myśl wiedzie nas za sobą Lamartine i zagubia w łańcuch wrażeń, którego pierwsze ogniwo w sercu swojém zawiązał. Im daléj idziemy, tém ogromniejsze uczucia biją w nas i w duszę poety — tém śpiew jego rozlewa się w mocniejsze akordy. Już nie hymn spokojny, nucący, już oda porywa nas mocniejszém tętnem po słowach Boga do ludzkości, niebawem przejdzie w krzyk, w dytyramb, by się znów ukryć w zawiłych filozofji dumaniach; lub święte Saula, Dawida rymy sobie przypomni, by otrząsnąwszy tegowieczne niedość poświęcone szaty, lubym Bogu językiem, w kraju jego ulubieńców, śpiewać pokój ziemi, chwałę niebiosom, ażeby skończyć hymnem miłości w objęciach kochanki, któréj czując już wolniejszy uścisk, z myślą o jego nicości żegna ją poeta, wskazując jéj na niebo. Więcéj czuły niż mocny, więcéj dumający niż czuły, nie zachwycając podoba się, nie przerażając rozrzewnia. Każde jego dumanie ma swoją myśl całą, odrębną, żywotną, co jest jego treścią; łatwo ją zgadnie czytelnik, i kiedy ją napotka mimowoli posnują mu się myśli w zadumę, opuszcza książkę i sam marzeniem kończy marzenia poety. Jestto najpiękniejsza zaleta, jedyne piętno geniuszu Lamartina.

Treści odpowiada forma. Powleczone delikatną melancholją płyną wiersze melodyjnie, szereg powabnych obrazów nadaje ustrojowi jaśniejszą barwę, nie przybierając na się żadnéj pewnéj formy. Natura odniosła zwycięztwo nad sztuką. Była to faza, do któréj ówczesna młodzież oddychała; przesycona zbytkiem żądała poezji bólu; przyzwyczajona do prawideł i rachuby pragnęła wylewów wolnéj, indywidualnéj natury; niecierpliwa z powodu surowéj dyscypliny, jaką jéj nałożyło cesarstwo, chciała Ossiana i Bernardyna, lecz naśladownictwo nie było niewolnicze, a rytmiczna forma ubierała marzenia w poetyczne szaty, rozpuszczając je w nieprzymuszonych fałdach. Usunięcie sztuki, naturalną improwizację, wolność formy uważano wtenczas jako główne zalety, również i krajobrazowe tło, służące do uzmysłowienia nastroju duszy. Najmilszym z tych obrazów jest „*Jezioro*,“ którego powabna okolica przypominała poecie one dnie, jakie spędził z swą kochanką. Jestto w rzeczy saméj piękny poemat harmonijnego nastroju, a nie przypominający reguły, pełen umiarkowania, a w niczem nie dowodzący ciasnoty i ograniczenia. *Dumania* jednak nie dadzą się porównać z lepszemi poematami niemieckich i angielskich liryków, a w całym zbiorze nie znajdujemy ani jednéj pieśni, którąbyśmy mogli wcielić do pieśni Goethego, Byrona lub Moora. Wzruszeniom ducha zbywa na prawdziwéj głębi, uczuciom na owéj treści, którą przecież zawsze tylko myśl wydać może, obrazom na zmysłowéj świeżości. Uczucia są miękkie, wyobraźnia ma bardzo szczupłe szranki. Dusza drży tylko w lekkich podrygach sama dla siebie; nie jest ona ani spokojném zwierciadłem świata zewnętrznego, ani nie rozwija wewnętrznéj siły, któraby nas porwać ze sobą mogła.

Improwizacya, którą Lamartine w pierwotnych poezjach wrodzonem umiarkowaniem trzyma na wodzy, w późniejszych gubi się w nieskończoność. Z gadatliwością, która tém więcéj rozstraja, im więcéj treść jest czcza lub bardzo nieznaczna, poddaje się poeta swym natchnieniom. Słowa płyną mu w bogatéj obfitości i po większéj części pięknie dźwięczą, lecz nic w nich nie mówi, a nawet autor nie wiele co sobie z tego robi, choć bez sensu mówi, jeśli mu się tylko obraz lub rym podoba. Już w *Dumaniach* dziwiono się niektórym niepoprawnościom języka i myśli. Błędy te co rok się pomnażały i stawały się jeszcze straszniejszemi przez samolubne namaszczenie, z jakiém głupstwo występowało. Wymowa Lamartina nie była ani namysłem dojrzała, ani silném uczuciem podniesiona, a słabsze elegje i ody z czasów cesarstwa, zdają się poetycznemi obok tego napływu słów, którym wszelkiego sensu nieraz braknie. Już w „*Harmonies politiques et religienses*“ (1830) ilość słów przechodzi liczbę myśli, a miłe umiarkowanie *Dumań* ustąpiło tu miejsca gadatliwości; wszelako i *Harmonje* sprawiły wielkie wrażenie częścią dla biblijnego stylu, częścią ponieważ prąd czasu znalazł w tych religijnych szkicach swój pokarm. Tą razą nie jestto indywidualne uczucie miłości, ale tęsknota do nieskończoności, miłość Boga, która poetę natchnęła.

Dążność i cel ten sam co i w *Dumaniach*, na czele nas wita w *Harmonji* pierwszéj, ale jaśniéj, ale szczerzéj

*) O życiu, stanowisku poetyczném i wpływie tego genialnego wieszcza Anglji, obszerny artykuł również pióra p. Rycharskiego, „Kalina“ po ukończeniu Lamartina drukować zacznie. — (P. Red.).

w niéj opowiada autor chęć i cel swój. Jakoż jedność myśli i jéj następstwo jaśniejsze w tych pieśniach, zyskały na śmiałości i podniesionym tonie piewcy. W *Dumaniach* gdzieś z pomiędzy rozlicznych drobnych okoliczności, z pomiędzy osłoniętych trawką, wodą lub uczuciową tkanką pokryw, wyślizła się głębsza myśl lub modlący głos do Boga. Tu brzmi autor piersiami całemi, do wtóru hymnom swoim użył mass — mass zdarzeń, mass głosów. Myśli, jakie w obrębie tego czasu między *Dumaniem* a wydaniem *Harmonji* przesunęły się w świecie, żyją w tym śpiewie, rozbierane głosem mocnego natchnienia, przypomniane dzielném zastosowaniem myślącego człowieka. W uważaniu nieba nie zaszła u niego zmiana, w uważaniu ziemi przemówiły doń te głosy, które w początkowych *Dumaniach* brał za chaos, za język Babelu, a które teraz z różnorodności zlały się w jeden dźwięk. Autor zrozumiał czas w postępie, a łącząc *Harmonje* swoje poszczególnemi nitkami z *Dumaniami*, urobił z nich całość śpiewną — ów hymn, który podsłuchał duszą swą w naturze. Jehowa albo myśl o Bogu rozciągnięta od szczegółu ziarnka dębu do ogółu ludzkości. — Myśl: „Czemu moja dusza smutna?“ aż do odpowiedzi: „Moja dusza smutną będzie aż do grobu“ *nosissima verba* — dają najlepiéj poznać różnicę i postęp śpiewaka *Dumań* i śpiewaka *Harmonji.* Gwarność głosów światowych przybyła w tych wierszach, pięknie i ciekawie urozmaica ów pogląd poetyczny na rzeczy ziemskie, które są tak małemi a tak krzyczącemi. Czujemy, jak się wszystko trzęsie i chwieje postępem czasu, sama myśl poety o Bogu spokojna, niewzruszona, wprawdzie na niéj jak na kotwicy buja się rozmyślanie jego, podrzucane falami podbijającego czasu, ale nie tonie, nie chwieje się. Nie płaczem i łzami, ale krzykiem kieruje nas autor na téj drodze za sobą, i jeżeli *Harmonje* są jeszcze wędrówką jego po świecie z rozbolałém sercem, to w téj wędrówce nie pociesza się i nie zatrzymuje lada wzgórkiem i wodą, ale górami nasypanych kości przeżyłych ludów, wodami przepłynionych wiar, systematów, półbogów. A jakże zajmującemi są przerwy tych ogólnych obrazów, spokojnym, porzuconym między niemi śpiewem, którym poeta wraca do poszczególnego jakiego wypadku w swém życiu. Po myśli o Bogu, owo spocznienie w przypomnieniu lat dziecinnych, po krzyku duszy i hymnie do Chrystusa, owa rozmowa z przyjacielem, są to w chwilach uniesień poetyckich chwile domowéj pogadanki, które jeszcze są poezją.

„Dlaczegoż twoje świątynie, o Panie, są za ciasne dla méj duszy! Zapadnijcie się słabe mury, ukażcie mi niebo, które mi zasłaniacie! Z płomieni, o Boże, są Twoje świątynie!“ — „Zkąd pochodzi, mój Boże, ów spokój, który mnie ukołysał, owa wiara, jaka me serce napełniła? Mnie, który przed chwilą niepewny, wzburzony, falami zwątpienia w rozmaitych kierunkach porywany, dobra i prawdy w marzeniach mędrców szukałem, a spokoju w sercach, które w nawalnicy i burzy swój odgłos znajdują — zaledwie kilka dni nad mojém czołem przeciągnęło, a zdaje mi się, jakobym od onego czasu niezmierną przepaścią był oddzielony, jakoby we mnie nowy człowiek się narodził. — Pochodzi to ztąd, ponieważ z miasta na wieś się przeniósłem.“ — W jednéj odzie napomina chrześcian, aby „w dniach próby,“ jakichkolwiek pokus doznawać będą, pamiętali zawsze o miłości, o któréj ich mistrz pouczał: — que l'homme, outrageant ce que notre ame adore, dans notre coeur brisé ne doit trouver encore que ce seul mot: Aimons! — Uczucia dziecka przy obudzeniu się. — Pamiątka umarłych i porównanie tychże z liśćmi jesieni. — Uwagi o ogromie nieba. Hymn do cierpienia: „Uderz raz jeszcze, jeśli znajdziesz miejsce. To krwawe serce dziękuje ci, choć się brzydzi tobą. Choć moje oczy nie uronią ci już ani jednéj łzy, to jednak jest może we mnie dźwięczna struna, która pod twym wzrokiem może drgać jeszcze,

Comme un serpent coupé sur le chmin gisant,
Dont le tronçon se tord sous le pied du passant,
Quand l'homme ranimant une rage assouvie,
Cherche encore la douleur où ne bat plus la vie!
Il est peut-être encore dans mon coeur déchiré
Quelque cri plus profond et plus inesperé
Que tu n'as pas encore tiré d'une ame humaine,
Musique ravissante aux transports de la haine!
Cherche! je m' abandonne à ton regard jaloux,
Car mon coeur n'a plus rien a sauver de tes coups!

Dyssonancya ta wszakże wraca znów do harmonji Boga. „Ach gdybym miał wyrazy, abym mógł malować obrazy i symbole tego co czuję, gdyby mój bełkocący język znaleźć mógł akcent na objawienie mych myśli!“ — „Jehowa! Jehowa! twoje tylko imię mnie pociesza! ono jest echem, odpowiadającém méj duszy!“ — „Przedwieczne słowo! źródło wolności i sprawiedliwości! słowo, które świat zbawiło, żywy promieniu prawdy! i t. d.“

W rozprawie „o przeznaczeniu poezji“, którą położył na wstępie do nowego wydania swych *Dumań* (luty, 1834), w téj saméj chwili, kiedy wstępując w zawód polityczny, tymczasowo opuścił poezję, wypowiada Lamartine swą wiarę w wierność poezji. „Świat jest młody, gdyż myśl nie widzi jeszcze wielkiéj różnicy i odległości między dzisiejszym stanem ludzkości a celem, który ma kiedyś osięgnąć.“ Poezya ma więc jeszcze wielkie zadanie. Lecz pod dwoma względami zajdzie w niéj istotna zmiana. — *Najpierw* porzuci ową ograniczoną formę; nie będzie ani liryczną, ani epiczną, ani dramatyczną. Mianowicie teatr dostanie się tylko niższym klasom ludu. La poésie sera *de la raison chantée*, philosophique, politique, sociale; intime, personelle, meditative et genre; nie będzie już zwierciadłem ducha, ale głębokiém, realném echem najwyższych jego pojęć. Będzie ona człowiekiem samym,

a nie już tylko jego obrazem. Poezya powoli otrząsła się z form sztucznych, niéma ona żadnéj formy, jak tylko siebie samą. Jak wszystko na świecie się uduchownia, tak i poezja. Unosi się ona jako sędzia ponad społeczeństwem, pokazuje człowiekowi nicość dzieł jego, wskazuje mu królestwo Boże, i dodaje mu otuchy, aby dążył do tego królestwa. W tym sensie są *Dumania* tylko rozproszonemi kartkami, le symbole vague et confus des mes sentinens. — *Powtóre.* Elle doit se faire peuple et devenir populaire comme la religion, la raison et la philosophie. „Jak idea nad czynami, tak poezja stoi ponad polityką. Ale człowiek nie samym tylko żyje idealem. Chodzi o to, aby rozstrzygnąć, czy idea moralności, religji, ewangielicznego miłosierdzia ma zająć miejsce egoizmu w polityce; czy Bóg w swém praktyczném znaczeniu ma wreszcie zstąpić do naszych praw. Aby to wyższe przekonanie wprowadzić w polityczne stosunki, zrzekam się na chwilę méj samotności; skoro jednak spełnię to zadanie, natychmiast powrócę do życia poetycznego. Świat poezji burzy się w mym mózgu, w rzeczywistym świecie czekam tylko na zmartwienie i stratę.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIEWCZĘCE CZARY.

Oj dziewczyno z czarnemi oczyma
Czemuś spokój mi mój zamąciła?
Nad mém sercem była już mogiła —
Kwiaty śniegiem przysypała zima —
Zdawało się, że tak już zostanie,
Że bez pragnień, złudzeń i nadziei
Przejdę resztę téj życia kolei,
Aż w grobowe upadnę posłanie,
I ziewając pod ziemi nakryciem,
Rozstanę się z tém, co zowią życiem.

Aż tu dziewczę przyszło w nasze strony,
Jedno dziewczę z oczami czarnemi,
I wiośniano mi znowu na ziemi;
Wielkanocne w sercu biją dzwony,
Ręka wiersze popełniać zaczyna,
Z słowikami bezsenną noc trawię,
Przecudowne sny miewam na jawie; —
I to jedno zrobiła dziewczyna,
A zrobiła żadnemi czarami,
Lecz czarnemi zrobiła oczami.

Oj dziewczyno, i trzebaż ci było
Niepokoić grób serca spojrzeniem?
Ono teraz upiorem i cieniem
Pójdzie wszędzie za twych spojrzeń siłą.
A może cię natrętne unudzi,
Obojętność twa może mi każe
Po raz drugi wracać na cmentarze —
Ta myśl trwogę w sercu mojém budzi,
Że mi przyjdzie za twoją przyczyną
Po raz drugi umierać dziewczyno.

M. B.

Nie zmyślone

POWIEŚĆ

przez *Paulinę z L. Wilkońską.*

(Dokończenie).

W dniu oznaczonym pojechała matka z córką do cytadeli.

Eliza była blada jak cień, i jak cień pomykała obok matki, przez dziedziniec więzienny, za ciężko stąpającym żandarmem. Prowadził je po wschodach, przez korytarz, na salę posiedzeń. Nie obejrzały się nawet na lewo i prawo, patrząc zamgloném okiem przed siebie. Chód ciężki przewodnika na długim korytarzu odbrzmiewał.

Ujrzały przed sobą żołnierzy pod bronią. Otworzono drzwi, i weszły na salę. Był tam kapitan i urzędnik cywilny.

Skłoniły się w milczeniu, bo i nie byłyby mogły słówka wymówić jednego. Eliza mniemała, że ją uderzenia serca zabiją, a raczéj pewnie nic nie myślała w téj chwili.

Gdy nas władza myślenia odbiegnie, to jak gdyby duch z przybitém rozłączył się ciałem.

— Przyprowadzę tu więźnia — wymówił kapitan, niby z ukrytéj ironii wyrazem, w obec biednych i nawpół mdlejących kobiet. Wyraz taki znać już był mu powszednim.

Wyszedł.

Urzędnik cywilny zastrzegł, by z więźniem *nic mówiły o niczem.*

Posłyszały nadbiegających... Eliza dłoń kurczowo zaciśniętą przycisnęła do serca.

Wszedł kapitan. Za nim Władysław, bez chustki na szyi, bo téj w cytadeli mieć nie wolno, nieogolony, zmieniony, w towarzystwie dwóch żandarmów. Poza drzwiami żołdaki bronią stuknęli.

Władysław ucałował ręce matki, i ze łzą na źrenicy przycisnął do ust zimne rączki kochanki.

— Jak się masz?

— Zdrowam.... A ty? — poszepnęła zaledwo dosłyszanym głosem.

— Zdrów jestem zupełnie.

Popatrzeli na siebie. Na lica Elizy gorączkowy trysnął rumieniec.

— Ojciec zdrów?

— Zdrów.

Dziesięć minut minęło. Ucałował znowu ukochane rączki, a Eliza poczuła, że w dłoń jéj coś wsunął.

Pożegnał matkę, i wyszedł z żandarmami.

— Pokaż pani co masz w ręku? uśmiechnął się kapitan szatańsko, przystępując do Elizy, i ujął jéj ręce obiedwie.

Lica biednéj trupią, popielatawą przybrały bladość. Zdrętwiała.

— Nic.... nic.... — poszepnęła głosem obumarłym.

— Nic nie ma — dodała matka, obejmując córkę.

— Otwórz pani dłonie — kapitan ciągle uśmiechał się fatalnie — bo to pewnie tylko żart jaki.

Eliza zacisnęła je konwulsyjnie.

— Otwórz paniunia, bo je przemocą otworzę.

Dojrzał, czyli téż dręczył na chybi trafi? Któż to odgadnie! Ale jak zagroził tak uczynił, i dłonie dziewczęcia rozwarł. Eliza z jękiem w objęcie matki upadła.

Kapitan trzymał w palcach kawałek oddartego, złożonego płótna. Rozwinął go i przeczytał kopciem nakreślone:

„*Przestrz... Ka...*“

— Aha! Ostrzeżenie dla jakiegoś ptaszka!... Proszę panie.

Biedne kobiety zaledwie o świecie wiedziały, wszystko kołowało się z niemi. Gdy zeszły na dół, oznajmiono im, że są aresztowane.... Straż towarzyszyła im, i osadzono je w więzieniu miejskiém.

W nocy i nazajutrz aresztowano w Warszawie i na prowincji kilkunastu, których nazwiska zaczynały się na Ka... na chybi trafi *).

W tydzień potém udało się panu Grątowskiemu uwolnić żonę. Biedna Eliza pozostała wszelako w więzieniu mimo wszelkich a wszelkich starań najusilniejszych.

Rodzice dowiedzieli się... za dobrą zapłatę, że ją badają ciągle o owego Ka... którego przestrzedz miała. I że Eliza pozostaje przy odpowiedzi: „Nic nie wiem. Nie zrozumiałam bynajmniéj co znaczyły litery, nakréślone na płótnie. Żadnego nazwiska na Ka... domyślić się nie mogę.“

Matka zaledwo raz w tygodniu, w obec więziennego dozorcy widzieć ją mogła. Nadto posługiwała jéj kobieta, przez policją najęta, któréj bały się obiedwie.

VI.

Pan Bolesław Golt w tym czasie dość często wizyty swoje u państwa Grątowskich powtarzał. A biedni, stroskani rodzice przyjmowali go, bo uważali, że inaczéj nie mogą uczynić.

Ubolewał niezmiernie nad nieszczęściem, które ich spotkało „*i całemi siłami, wpływami wszelkiemi jakie posiadał*, starał się *gorąco ale ostrożnie* o uwolnienie panny Elizy.“ Był gładkim ponad wszelkie wyrażenie, wślizgiwał się zręcznie, to téż niby aż *wdomowił* się u nich. Wspominając półsłówkami o sprawie Władysława, ramionami wzruszał, chmurzył się zaraz i wargi zacinał: dawał poznać, że jest groźną i że bardzo źle o niéj wróżą.

Przy rewizji w mieszkaniu Władysława znaleziono pomiędzy jego książkami, Mickiewicza i jeszcze kilka dzieł innych, zakazanych.

Pan Bolesław Golt dnia jednego, z wielce zachmurzoną a tajemniczą miną, znowu coś o téj nieszczęśliwéj sprawie nadmienił.

— A cóż? Cóż mu zarzucają głównie? — zapytał ojciec Elizy trwogą przejęty. — Boć te kilka książek...

— Panie dobrodzieju..... — zatknął się niby pan Golt — usiłowałem, wszelkich użyłem sprężyn, by czegoś dowiedzieć się bliższego, i otóż, niestety!...

— Cóż takiego? — powtórzył pan Grątowski pytanie.

Pan Bolesław pochylił się ku niemu i poszepnął:

— Przejęto korespondencję z emigracją polską w Londynie, która go wielce kompromituje....

Pan Grątowski pobladł.

— To być nie może! — wyrzucił.

— Tak jest, panie.

— I cóż przecie było w tych listach?

— Tego już nie wiem.

— Wiem, że Władysław ma jakiegoś krewnego w Anglii, więc może to od niego miał słów kilka, bez znaczenia.

Golt pokraśniał i wargi zaciął.

W kilka dni późniéj przybył pan Jędrzéj do Warszawy. Pan Grątowski powtórzył mu co posłyszał od Golta.

— Daję słowo honoru! — zawołał stryj Władysława z oburzeniem gwałtownem — że miał tylko dwa najniewinniejsze liściki, krótkie zupełnie, od kuzyna zostającego przy jakiejś fabryce w Anglii. Ale gdy zechcą, to zawsze z kozła zrobią barana — i westchnął ciężko.

— Nieszczęście! — wymówił ojciec Elizy, z okiem zamglonem — wielkie nieszczęście!.... O moje biedne dziecko!

— Biedne dzieci nasze! — powtórzył za nim pan Jędrzéj.

Poczciwy stryj biegał, starał się, nie szczędził pieniędzy.... ale niczego dopiąć nie mógł.

Pana senatora nigdy w domu nie było.

Znać jakieś nowe rozpoczęło się śledztwo, bo przez kilka tygodni nie puszczano matki do Elizy, co boleść biednych rodziców jeszcze powiększało stokrotnie. I pan Golt okazywał, że jest wielce zaniepokojony.

Przyjaciele, wietrzący sprawę bliżéj, przestrzegali nawet, ażeby tak pan Jędrzéj jako i pan Grątowski na czas

*) Prawdziwe.

pewien wszelkich zaniechali starań, bo te, zdaje się, w ostatnich zwłaszcza czasach, całą pogorszyły sprawę. Bogu polecili się zatém, a bólem złamana matka długie godziny dnia każdego przeklęczała w kościele.

Zamknęli się u siebie, nie bywali nigdzie, i przyjmowali jedynie kilka zaufanych osób. Pan Golt wszelako wślizgiwał się zawsze.

Dnia jednego, po czterech długich, pełnych trwogi tygodniach, odebrała pani Grątowska pozwolenie odwiedzenia córki. A dodano, że panna Grątowska jest niezdrowa.

— I bronili mi widzieć ją?! — załamała ręce z rozpaczą.

Pojechała zaraz, drżąc cała z najsilniejszego wzruszenia.

Zaprowadzono ją do celki. Towarzyszył jéj komisarz policji i kobieta posługująca. Cień raczéj, a nie ukochana śliczna Elcia, pomknął ku niéj. Ujęła dziecię swoje w objęcie, i przycisnęła ją do piersi, jak gdyby jéj od niéj już żadna potęga oderwać nie miała.

Elcia przylgnęła do matki, jakby na wpół zemdlona, jak niemowlę bezsilne, dla którego to objęcie całym jest światem!

— Niewolno sobie nic poszepnąć — zauważył komisarz.

— Niewolno, niewolno! Uchowaj Boże! — dodała najemnica. — Już to panie bądźcie ostrożne. Siadaj paniunia lepiéj — ujęła Elizę za rękę.

Usiadły i spojrzały sobie w oczy. Matka przeraziła się na wskroś zmienioną postacią ukochanéj córki: wycieńczała, lica jéj zapadły, znikła ich krasa, oczy blask straciły.

— Cóż tobie, dziecko, co tobie? — pytała matka głosem złamanym — chorujesz?

— Nic to, mamo najdroższa! — uśmiechnęła się wdzięcznie — czasem czuję osłabienie jakieś.... ból głowy.... bicie serca.... Ale to nic!.... A czy zdrowi wszyscy? — zapytała, i usta jéj więcéj jeszcze pobladły.

Matka zrozumiała pytanie.

— *Zdrowi wszyscy* — odrzekła z przyciskiem — i dobréj myśli....

— Pani! — przestrzegł policyant.

Kobieta najemna palec położyła na ustach.

Biedna matka tą odpowiedzią pragnęła jéj dać dobrą o Władysławie otuchę. Eliza zrozumiała ją zaraz, i niby lekki pyłek różowy skrasił przelotnie zwiędłe jéj lica.

Umilkły na chwilę.

Matki oko dojrzało, że nieznacznie raz po raz przyciskała dłonią bok lewy.

— Elciu, ty cierpisz? — wzięła jéj rękę z uczuciem trwogi.

— Nic, mamo najdroższa, to jest nic.

— Ty kryjesz się przedemną! Cierpisz! Och powiedz! — pytała ze łzami.

— Nie trwóż się matuchno kochana — uśmiechnęła się, kładąc głowę na ramieniu matki — jest mi dobrze.... — w głosie jéj tłumione łzy odbrzmiewały.

— Dziecko! dziecko! — o ledwo, że biedna matka żałosnym nie wybuchnęła płaczem.

Eliza tuliła się do niéj.

— Pani, już czas! — ozwał się wreszcie policjant, spojrzawszy na zegar.

— Taki jest rozkaz — dodała kobieta, przystępując bliżéj.

Pani Grątowska powstała.

— Kiedyż znowu będę mogła odwiedzić córkę? — zapytała komisarza, do głębi duszy wzruszona.

— Nie wiem, pani.

— Czy może jutro? Panie! — złożone dłonie przycisnęła do piersi. — Jest chorą!

— Nie umiem odpowiedzieć. Nic nie wiem.... To zależy od okoliczności. Ale, pani, czas nagli! — spojrzał znowu na zegarek.

— Tak, bo na drugi raz nie byłoby pozwolenia — dorzuciła kobieta.

Matka i córka z tłumionym płaczem padły sobie w objęcia. Policjant i kobieta najemna tuż przystąpili do nich.

Pani Grątowska wyrwała się i wybiegła. Eliza z jękiem na krzesło upadła.

VII.

Przeminęło znowu kilka tygodni. W tym czasie pani Grątowska dwa razy otrzymała pozwolenie odwiedzenia córki.

Eliza chorowała, i lekarz bywał u niéj przeznaczony dla więźniów. Nazywał jéj cierpienie nerwowém, a biedna matka uważała, że ukochane dziecko z dniem każdym więcéj niknie, i śmiertelna przejmowała ją trwoga.

Dnia jednego wezwano ją znowu do córki. Zastała ją w gorączce, wysiloną zupełnie. Patrzyła się na nią ze ściśnioném sercem, a płakać nawet nie mogła, nie śmiała.

Uchylono drzwi i żandarm podał komisarzowi policji papier jakiś. Ten go rozwinął i przeczytał.

— Ponieważ panna Grątowska choruje — wymówił z obojętnym wyrazem — więc nadeszło pozwolenie, ażebyś ją pani do domu wzięła.

— Och!... Boże!... Boże!... — matka złożone dłonie przycisnęła do piersi, a z oczów jéj łzy polały się rzewne.

Eliza porwała się z uśmiechem szczęścia, i bezwładnie na siedzenie upadła.

Po kilku chwilach sprowadzono ją po wschodach, bo matka i córka pragnęły co rychléj z miejsc tych uciekać. Gdy zeszły na dół i świeże zawiało powietrze, wycieńczona Eliza zemdlała. Otrzeźwiły ją łzy matki i przywołany lekarz. Poczém powóz potoczył się zwolna.

Ojciec powitał ukochane dziecko z wyrazem radości,

— Już teraz dobrze, wszystko dobrze! — wymówił, całując ją w czoło — już teraz wszystko pójdzie pomyślnie.

Gdy wszelako matka do drugiego uprowadziła ją pokoju, upadł jakby bez mocy na siedzenie. Twarz jego zmieniła się boleśnie, ukrył ją w dłoniach i zapłakał.... Ojciec męzkiemi zapłakał łzami!

Pod wieczór zjawił się pan Bolesław Golt. Przyjął go tylko sam pan Grątowski. — Kawaler powinszował mu w kwiecistych wyrazach, że córka ukochana powróciła do domu, wtrącając coś tam i o własném sercu.

Ojciec ciężką pochylony troską, bolesném odpowiedział milczeniem.

— Czy nie mógłbym pannę Elizę zobaczyć? — ozwał się tamten znowu po chwili.

— Nie, panie — odrzekł ojciec przez zaciśnięte zęby — ona jest chora... omdlewająca... bez siły, jak gałązka złamana... Szczęście nasze umiera!... — wybuchnął rozpaczliwie i uderzył się w czoło, ponad którém, zdawało się, że z silnego wzruszenia najeżyły się włosy.

Pan Golt pobladł nagle. A po chwili, nabrawszy znowu zwykłéj sobie czelności, życzył z całéj duszy rychłego polepszenia zdrowia pannie Elizie, i powstał.

— Módlmy się, a Bóg nas pocieszy! — dodał z cynizmem bluźnierczego zuchwalstwa, uścisnął pana Grątowskiego i wyszedł.

Dnia drugiego i trzeciego powtórzyło się podobnie.

Lekarze po dwa razy na dzień u choréj bywali. Niemal cała Warszawa nad nieszczęściem zacnych Grątowskich bolała.

Dnia dziesiątego po powrocie z więzienia, Eliza ocknęła się z rana, i z uśmiechem wyciągnęła wychudłą rączkę do matki, która przy niéj czuwała.

— Śniłam o Władysławie, mateczko — wymówiła z dziwnie rozjaśnionem licem — szliśmy przez pola zielone. Łąkę przecudne maiły kwiatki. Drzewa lśniły świeżością. W koło świegotało ptastwo. Słońce całym świeciło blaskiem, ale nie paliło. Wspierałam się na ramieniu Władysława... i cieszyło nas wszystko, na cośmy spojrzeli. Wtem zaszeleściło w powietrzu. Podnosimy oczy... ptak wielki, biały, wspaniale szybował, szeroko niby posrebrzone roztaczając skrzydła.... Przy nim unosił się anioł prześliczny, w śnieżnéj sukience, ze skrzydełkami złotemi, z różczką zieloną w rączce.... „To nasz orzeł“ poszepnął Władysław „nasza miłość, nadzieja i wiara!... A w tych siła nasza i przyszłość!“ uścisnął mi rękę, upadliśmy na kolana, i zbudziłam się....

— Sen śliczny, dziecko jedyne! — wymówiła matka.

Eliza nagle dłoń do lewego przycisnęła boku.

— Co to, Elciu? — zatrwożyła się matka.

— Ej... nic... — odrzekła Eliza, a niby odetchnąć nie mogła. Lica jéj pobladły, jak lilii listek.

— Podam ci lekarstwo! — zawołała matka przerażona.

— Do... brze...

Pani Grątowska przystąpiła z lekarstwem.

— Wła... dy... sław... czy... tu... — rzuciła się chora, skubiąc palcami kołdrę adamaszkową.

— Bierz, dziecko — matka podawała jéj łyżkę.

Eliza rozwartemi, jakby szklanemi na nią patrzyła oczyma. Matka drżącą ręką chciała unieść jéj głowę.

— Dziecko! Elciu!

Nagle zawarły się jéj powieki, głowa obwisła, opadła... Duch dziewiczy zlekka, bez westchnienia, do tronu Boga uleciał.

Ze skargą — ale i z miłością!

Czwartego dnia potém, pod wieczór, ciągnął orszak pogrzebowy, liczny, przeliczny — smutno, żałobnie, przez ulice Warszawy. Coraz nowe przydążały tłumy. Żałosne łkania łączyły się z pieniem duchowieństwa. Poza karawanem młodzież na barkach niosła trumnę, ozdobną w piękne wieńce i bukiety, wśród których widoczną była srebrna blacha z napisem:

Eliza Grątowska
dziewica
liczyła lat 19.

W całym orszaku — obojętnego, suchego nie było oka. Bo żałobna wdowa po wielkim narodzie boleje zawsze, całą duszą nad każdém swojém ofiarném dziecięciem.

Mgła listopadowa zalegała ulice.

W tym samym czasie wywożono więźniów z cytadeli. Jeden z nich — blady, z głębią niezrównanéj tęsknoty w oku, z wyrazem szlachetnéj dumy na zmarszczoném czole, patrzył się przed siebie, żegnając gród mazowiecki rozpaczliwém w sercu westchnieniem.

Żałobne dzwony żałosno-harmonijnym odgłosem przez pogodny ciągnęły przestwór. Więzień znane chwytał dźwięki, jakoby bratnio witany przez nie.

Na ulicy Długiéj, przy cerkwi, powózka zatrzymać się musiała, bo z Miodowéj — liczny, pogrzebowy ciągnął orszak.

Czyj to pogrzeb? zapytał snać jakiś obywatel wiejski, stojący na trotuarze.

— Panny Elizy Grątowskiéj...

Więzień jęknął, i szarym płaszczem twarz przysłonił... Gdy po chwili odkrył ją znowu, była trupiéj bladości.

Rozpłomienionem gorączkowo spojrzeniem sięgał ponad tłumem kołyszące się zwolna wieńce i bukiety.... Dusza jego, uderzenia serca — pociągnęły za niemi.

Tłumy przeciągnęły. Powózka ruszyła daléj. Władysław wszystko co ukochał w życiu jednem jeszcze pożegnał westchnieniem, a potém w duszy zawołał:

„Dalejże teraz na Sybir, w katorgę! Życie jest krótkie, a jeszcze i cierpienia je skrócą!.... Mój anioł mnie czeka!“

Na cmentarzu powązkowskim wszystko ku dziewiczéj rzuciło się trumnie, bo każdy pragnął choć jeden listek, jeden szmatek na drogą zachować pamiątkę *). I to znowu jako przewinienie polityczne poczytaném zostało. Rozpoczęto śledztwo i szukano przewódzców karygodnego postępku **). Że zaś winnych było za wielu, a przewódzców nie było żadnych, więc wreszcie i zaniechano badania.

PRZEKLEŃSTWO

(z W. Hugo).

Ed altro disse; ma non l'ho a mente?

Dante.

Niech za młodu zgarbiony bez spoczynku brodzi
Po spiekłych morzach piasku, gdzie słońce wciąż wschodzi
I jakby żarem pali!
Jak sumieniem ścigany, o północnéj ciszy
Uciekający zbrodzień — niech za sobą słyszy
Krok pogoni w oddali!

Niech na błyszczących lodów źwierciadlanéj stali
Wciąż ślizga się i pada — znów powstaje — wali,
I zębem lód rozcina!
Niech za innego wzięty i w koło wpleciony
Wciąż woła: — „Jam niewinien!“ — a kat zakrwawiony
Niech na krzyż go rozpina!

Niech wiszącemu język rój owadów toczy,
A śmierć o białych kościach staje wciąż przed oczy
I patrząc nań się śmieje!
Niechaj trup jego cierpi — tyle jeszcze czuje
By czuć jak go śmierć chłonie — twardym zębem żuje,
Grobowym tchem nań wieje!

Niech będzie martwem ciałem i niech niema ducha!
Na ciało nagie słońce niech płomieniem bucha
I lód spada kroplami!
Niech pod śmierci widziadłem wstrząsa się i wije!
Niech w walce nieustannéj zimny pot go kryje
Pod upiorów szponami!

Niech wisząc choć umarły ciągle jeszcze żyje,
By czuł jak z każdą chwilą własne ciało gnije —
By czuł zapach zgnilizny!
Niechaj własnym pazurem skórę zdziera z czoła,
A każdy włos na głowie jęcząc, niech nań woła:
„Giń! — Giń! — zdrajco ojczyzny!“

S. Równia.

---

*) Prawdziwe. **) Prawdziwe.

KILKA CHARAKTERYSTYCZNYCH RYSÓW

Z ŻYCIA

MARJI STUART.

(Rzecz oparta na najnowszych badaniach historycznych)

przez *Edwarda Lubowskiego.*

Niema może w historji drugiéj osobistości tak wybitnéj, tak długo i namiętnie zajmującéj wieki, jak Marja Stuart. Dziś jeszcze, ile razy zacznie się rozmowa o téj kobiecie, która swą pięknością, błędami i nieszczęściami wryła się w każdego wyobraźnię niezatartém piętnem, tworzą się natychmiast stronnictwa, jedne stanowczo ze surowością ówczesnych sędziów królewskich potępiające i karę jako sprawiedliwą orzekające, drugie uniewinniające aż do zbytku tę postać promienistą, jaśniejącą aż dotąd jakimś niewysłowionym wdziękiem. I jedni i drudzy w ostatecznych swych sądach niezawodnie się mylą, lecz i historycy i poeci nie byli wolni od tego.

Iluż poetów i powieściopisarzy nie pisało już o Marji Stuart, a każdy jakąbądź epokę z jéj życia uchwycił, zawsze ona przedstawiała mu tyle ciekawych faktów, tyle oryginalnych objawów psychologicznych, że stawała się zawsze jakby nową, świeżą i niesłyszaną jeszcze przygodą.

Istotnie, mimo tylu znakomitych studjów żywota téj kobiety, trudno a prawie niepodobna jest orzec stanowczo o jéj charakterze, o jéj przeznaczeniu; potrzebaby chyba zbadać wpływy najróżnorodniejsze: polityczne i religijne, socjalne i osobiste, które miotały sercem jéj i umysłem. Z badań tych wynurza się jedna, wielka prawda, to jest: że Marja Stuart mogła zarówno ulegać dobrym jak i złym wrażeniom, i że usposobieniem swém różniła się wręcz od usposobienia Elżbiety angielskiéj, umiejącéj stać silnie przy jedném raz powziętém uczuciu czy postanowieniu. Szkockiéj królowéj życie było jednem pasmem namiętności, gwałtownych uczuć, zapomnienia się na śliskich ścieżkach swego wieku, wyzywania opinji jaskrawemi błędami i zasadami, słabością wreszcie charakteru posuniętą w pewnych razach (w miłości dla Bothwela) aż do hańby. Strona jéj moralna dałaby się ocalić jedném charakterystyczném słowem: „że Marja była przedewszystkiém *kobietą,* w przeciwieństwie do Elżbiety, która była w całém znaczeniu tego słowa *królem* — gdyby niejeden straszny fakt (niezatarty po upływie wieków) fakt zabójstwa małżonka Marji: Darnleja.

Prawda, że ciężko odpokutowała za ten czyn zbrodniczy, lecz niczém, bo o ile wiadomo, nawet szczerym żalem nie zmyła z siebie wiecznéj plamy moralnego w zabójstwie tém spółudziału. Ani chęć zadośćuczynienia swéj namiętności (gdyż Darnlej pozostawił jéj swobodę działania), ani fanatyzm religijny (bo Darnlej był katolikiem), ani powód polityczny nie usprawiedliwiały téj zbrodni

nawet w owym wieku, gdzie jak się jeden z historyków wyraża: „wiatr morderstw wiał po całym świecie.“ Przerażające przedśmiertne chwile Darnleja jasno wskazują ohydny jéj a zimno obrachowany zamiar, uwieńczony rychłém a skandaliczném małżeństwem Marji z zabójcą prawego jéj małżonka Bothwela. Zabójstwo Darnleja i ślub z Bothwelem, oto dwa momenta historyczne, charakteryzujące prawdziwie jéj żywot. W nich odzwierciadla się rozpasana kobieca natura, poświęcająca godność kobiecą, honor, cnotę i Boga dla szalonéj namiętności, która nią całą owładnęła. Bothwel to jéj Bóg, to kres od którego chce zacząć żyć na nowo, to cel nagrody za poświęconą cześć kobiecą, za zachwianą koronę, za przekleństwa ogółu i za wyrok potępienia historji, który jéj dziś jeszcze minąć nie może! Tak jest, — historja z bezstronnego swego stanowiska nie ma prawa udzielić jéj przebaczenia, nie ma prawa złagodzić wyroku ze względu na jéj dwudziestoletnią pokutę; musi ona podobnie jak sąd komisarzy królowéj Elżbiety orzec stanowczo i bez wahania: *winna*. Lecz upokorzoną w obec nieubłaganego sądu historji, w obec nawału i ważności faktów, — wolno jest podnieść z litością tym którzy są wszechpotężni w dziedzinie imaginacji — poetom. Oni téż od dziesiątek lat stają w obronie pięknéj, nieszczęśliwéj kobiety, wynoszą jéj cierpienia bezwarunkowém potępieniem Elżbiety, jako królowéj wydającéj okrutny wyrok; sławią jéj pamięć poniżeniem prawie charakteru Elżbiety niby upośledzonéj od natury rywalki. Po stronie poezji i poetów stoi dziś jeszcze i stać będzie zawsze ogół publiczności, zwłaszcza wtedy, gdy jako rzecznicy w sprawie Marji Stuart występują tacy poeci, jak Szyller i Słowacki. Niechaj Elżbieta stokroć tryumfuje jako królowa i jako wyraz polityki, niechaj wzmacnia upokorzeniem szkockiéj królowéj sprawę protestantyzmu i państwa Wielkiéj Brytanii: — w krainie imaginacji znika przygnębiona promienną aureolą swéj ofiary. Potrzeba jednak było całéj siły gieniuszu, ażeby z motywów tych, mimo że są tak piękne, stworzyć dzieło sztuki; mierny talent, jakto słusznie powiada pani de Staël, zginąłby pod ich ciężarem. Szyller w przeciwieństwie do Słowackiego obrał za treść pięcioaktowéj swéj tragedji ostatnią epokę z życia Marji Stuart: jéj smutne więzienie i śmierć. Czuł on doskonale, że gdzie historyk milczeć nie może, tam poeta oczy zamknąć powinien; że biorąc za przedmiot którąkolwiek z burzliwych scen życia Marji, przedstawi się tylko jeden charakterystyczny może ale nie charakteryzujący stanowczo epizod; bo nie było może kobiety, którejby życie z tylu przeciwnych sobie i różnorodnych składało się żywiołów. Wolał więc a raczéj wybrał umyślnie jednę z owych epok skończonych, w których Marja jest już dłuższy czas sama sobą, pozostawioną jedynie w walce z losem i ludźmi. W więzieniu tém, w którém Marją dotkliwie upokarzano, w którém ją okrutna i zazdrosna rywalka głodziła, ziębiła, rozmyślnie męcząc licznemi katuszami— w więzieniu tém potężnieje Marja cierpieniem, stając się przez to stokroć wyższą od swéj ciemiężycielki. Szyller nader trafnie ominąwszy niebezpieczną Scyllę, o którąby się rozbić mogła sympatja słuchających, stanął od razu na stanowisku zapewniającém mu wszystkie serca, bo stanowisku szlachetnéj litości. Nie chce on przypominać owéj szczęśliwéj, bawiącéj się, pieszczonéj i sławionéj przez poetów i mocarzy, otoczonéj tysiącem dworaków, jaśniejącéj cudowną pięknością królowéj, woli ją odziać potężnym urokiem upadłéj ze szczytu wielkości, urokiem piękna, co jak światło słoneczne rozlewa się na około, ogrzewając i pobudzając do życia wszystkie w okół stworzenia. Bez zaprzeczenia, Szyller chce Marji umyślnie pięknéj, jeszcze w więzieniu i na stopniach szafotu. Piękność ta nadnaturalna, sławiona w swoim czasie, zwycięża i podbija serca jeszcze teraz. Mortimer nie waha się wyznać, że się chce poświęcić dla niéj, bo go oczarowała jéj piękność: — jéj piękność téż zniewala stokroć łatwiéj serce widza, zohydzając zarazem zazdrosną, próżną, chcącą się koniecznie podobać rywalkę.

Inna to wprawdzie rzecz, czy środek ten (piękności Marji w więzieniu, a zazdrości czysto kobiecéj Elżbiety) jest ściśle historycznym i czy rzeczywiście nawet jako efekt dramatyczny był niezbędnym? Sądzimy, że nie.

Jak bowiem z jednéj strony Elżbieta pozbywająca się swéj ofiary z zazdrości rywalki, nic a nic nie jest podobną do owéj gieniuszem politycznym obdarzonéj królowéj, tak znowu z drugiéj użycie dwóch wręcz sobie przeciwnych ostateczności niekoniecznie wybornym dramatycznie jest warunkiem. Kto wié czy nie lepiéj było ograniczyć się na samym kontraście potęgi moralnéj i siły materjalnéj; i czy Marja nie silniéj uderzyłaby wyobraźnię widza, gdyby się ukazała znędzniała długą chorobą, głodem, z przyćmioném okiem, z przedwcześnie osiwiałemi włosy? Wszakże o jéj piękności ubiegłéj i o blasku mówią podrzędni (Kennedy i Melvil), widz przeto obznajmiony odrazu z przeszłością, tém silniéj czułby się teraz tym kontrastem wzruszony. Mortimer (który się poświęca, oczarowany samą tylko jéj pięknością) jest młodzieńczym marzycielem; tém snadniéj więc mógłby, zwłaszcza narysowany gienialnem piórem Szyllera, przeistoczyć się w marzyciela zakochanego w cierpieniach Marji tragicznie odbijających od dawnego jéj świetnego blasku, znanego całéj ówczesnéj Europie. Lecz nie jestto pierwsza i ostatnia nie historyczność w tragedji Szyllera. Dopiął on niezawodnie swego celu w wytkniętym przez siebie kierunku, lecz dopiąłby go tak samo, a może jeszcze lepiéj, trzymając się wiernie charakterystyki historycznéj i faktów, które się wydarzyły jakby umyślnie dla poety.

Rozmowa dwóch królowych w parku w Fotheringay, najefektowniejsza w całéj tragedji, koncentrująca w sobie całą siłę intrygi, akcji i charakterów, nie mogła wypaść inaczéj, skoro jakeśmy napomknęli, założeniem i osią tragedji jest u poety zazdrość i próżność kobieca Elżbiety.

Chce ona całą potęgą królowéj, podobać się jako kobieta: miłość własna rozbudzona u niéj do szału; — jéj dworacy pod osłoną galanterji ukrywają obawę nieuczczenia jéj wdzięków, więcéj nawet, ukrywają swą nienawiść. Jednym z nich jest Leicester, uznany faworyt, skrycie wielbiący Marję. Blady to charakter, a w dodatku całkiem wzięty nie historycznie, gdyż był on raczéj jednym z jéj stałych prześladowców, a przynajmniéj jednym z sądzących i wyrokujących o jéj życiu komisarzy. Tryumf artyzmu odbył się tu zbyt wielkim kosztem prawdy historycznéj, bo na widzu pozostaje jedyne wrażenie, że prócz zazdrości nic innego nie powodowało Elżbietą w oddaniu Marji pod miecz katowski. A jednak zaprzeczyć trudno, że była naczelniczką narodu pragnącego duszą i ciałem trzymać się nowéj reformy, któréj najzaciętszą nieprzyjaciołką z rodu, przekonań i stanowiska swego jako królowéj Szkocji była właśnie Marja Stuart. Poeta za nic miał te względy. Historja stała się u niego tak drugorzędną rzeczą, że którzy znają tylko jego tragedją, gotowi sądzić, iż jedynie kłótnia obydwóch królowych była przyczyną śmierci Marji. To téż słusznie jeden z krytyków niemieckich powiada: że *historya mając swój właściwy grunt, swoją właściwą prawdę, ma tém samém swoje właściwe sobie uczucie, którego nie godzi się pomijać.* Odnosząc to do niniejszéj tragedji, ośmielamy się twierdzić, że przy zachowaniu większéj ścisłości historycznéj, a kunsztowném rozporządzeniu dramatycznem dokonałby Szyller nierównie większego efektu. Do fikcji poetycznych zaliczyć także trzeba osobistość Mortimera i napad skrytobójczy na królowę powracającą z Fotheringay. (Scena przedostatnia piątego aktu).

Juljusz Słowacki w pięcio-aktowym swoim dramacie historycznym obrał wręcz przeciwny Szyllerowi epizod, bo jeden z najburzliwszych lubo najściśléj historycznych. Jest nim właśnie zamordowanie Darnleja i miłość Bothwela. Co więcéj, obrawszy raz tę najczarniejszą chwilę z życia Marji, oświeca ją psychologicznemi motywami nader trafnemi. Gasnąca jéj miłostka dla Riccia wiążąca się misternie z intrygą dworską i z kwestją polityczną, któréj się chwyta chciwy władzy, ambitny a piekielnemi plany rozegrzany Bothwel; oraz wybuchająca płomiennie pod wpływem jego demonicznym nowa miłość Marji, wysnuwają się jedna z drugiéj kunsztownie niby nici jednego kłębka. Bothwela piekielny cynizm, demoniczną czy fatalistyczną przewagę nad Marją, przesyconą już w owéj epoce doznanemi wrażeniami i rozkoszami, maluje poeta w kilku pociągach z siłą prawdy nagiéj i nieubłaganéj. Tak naprzykład:

MARJA. Co? dzwon? po kim dzwony?
BOTHWEL. Po śmierci Riccia.
MARJA. Szatan budzi mnie ze snu.
(Spoglądając na wiszący obraz Darnleja).
Patrz Bothwelu! ten obraz wiszący na ścianie —
Jak w nim dobrze trafiona blada twarz Henryka —
Ściga za mną oczyma. — Nie zniosę téj twarzy!
BOTHWEL. Ha, ha, więc ci miłe Darnleja spojrzenie?
Można obraz zasłonić!
MARJA. Nie — rozedrzyj płótno!
Rozedrzyj je sztyletem — na co te obrazy?

A trochę daléj, gdy Bothwel udaje, że nie rozumie intencji królowéj względem Darnleja, jakże umie wyciągnąć z niéj ostatnie słowo:

MARJA. Zemścić się, zemścić! cóż mi teraz pozostaje?
Zemścij się!
BOTHWEL. Nad Duglasem mścić się?
MARJA. Powinien zginąć!
BOTHWEL. Kto?
MARJA *(długo pasując się z sobą).* On!
BOTHWEL. Kto?
MARJA. Król!
BOTHWEL. Zginie!

W piątym akcie Bothwel bierze lampę z kaplicy Marji, aby jéj płomykiem podpalić miny prochowe podłożone w domku, w którym chory król spoczywa.

MARJA. O Bothwelu, Bothwelu, to lampa święcona!
BOTHWEL. Wróci, wróci przed ołtarz, choć ją we krwi
zmaczam.
MARJA. O Boże! cóż uczynię w udręczeniu srogiém?
BOTHWEL. Czytaj książkę modlitwy!

Poeta zawładnął tutaj sytuacją po Szekspirowsku.

Szyller chciał losem Marji wzruszyć, pamięć jéj niejako zrehabilitować; Słowacki przeciwnie, chciał duszę słuchacza przeszyć zgrozą, wstrząsnąć. Tragiczność u pierwszego leży w wymiarze kary, w ekspiacji ofiary; u tamtego przeciwnie, tkwi w samym czynie zbrodni, w jéj rozwoju, obmyśleniu, wykonaniu i skutkach. Pierwszy biorąc za przedmiot ostatnie chwile bohaterki, jéj więzienie, musi podtrzymywać akcję opowieścią osób podrzędnych, wymyśleniem wreszcie nowych czynów (napad Elżbiety po powrocie z Fotheringay); drugi czerpie z żywéj krynicy historji, z gotowego materjału. Marja wstępująca na szafot z godnością i rezygnacją, zostawia wprawdzie głęboki żal w duszy widza, lecz nie piętnuje się tam owém głębokiem, niespokojném wrażeniem, jakiego doznajemy w tragedji Słowackiego, kończącéj się dopełnioną zbrodnią i uściskiem w objęciu współwinowajcy. Tragiczność w Słowackim jest głębsza, lubo nie ma zalety Szekspirowskiéj tragedji, gdzie winowajców czy zaślepionych gruchocze piorun zemsty lub kary.

Tak więc, dwaj poeci różnéj narodowości natchnieni oryginalnemi dziejami téj postaci historycznéj, osądzili ją godną stania się przedmiotem dzieła sztuki.

Różnili się od siebie założeniem, ale obaj zdążali do wspólnego ołtarza estetycznego piękna, u stopni którego zetknęli się w bratnim ucisku.

I.

Saint-Germain, rezydencja francuzkiego Henryka II, nazywa się miejsce, w którém Marja rozwijała powaby niezwykłego dziecięcia, ściągające już wówczas na siebie powszechną uwagę. W zamku tym oblanym rozkosznemi wysepkami, otoczonym dokoła szeregiem nieprzebitych lasów, zapełnionych dzikiem, sarną i rozlicznym gatunkiem zwierza, przysłuchiwała się Marja nieraz odgłosom trąb myśliwskich zapraszających na łowy. Sama też umiała malutkiemi rączkami natężyć łuk lub wypuścić Sokoła.

Pieszczona przez cały pełen świetności dwór Walezjuszów z rozkoszą i namiętnością wyższą nad jéj wiek, puszczała się w wir tańca dopóki jéj tchu nie brakło, lub wsłuchiwała się w muzykę wstrząsającą całą jéj istotą, lub wreszcie pieściła ucho melodyjnym, rytmicznym dźwiękiem poezji, którą już podniecić umiała w takich nawet poetach jakimi byli: Ronsard i du Bellay.

Młodziutko zaręczona z Delfinem, czuła się jednak już wówczas dumną z tego i szczęśliwą; czarowała powabem swych wdzięków dwór cały, który niedługo miał u jéj stóp złożyć hołd uwielbienia i podziwu. Uczyła się wiele, wiele się téż nauczyła. Językiem greckim, łacińskim, włoskim i hiszpańskim władała jak francuzkim. Układała mowy i rozprawki uczone, które wygłaszane w obec króla jednały jéj poklask całego dworu; poeci i uczeni cisnęli się do młodziutkiéj królewnéj umiejącéj każdego zachwycić to urodą i obejściem, to talentami i nauką. Na tym dworze jednak, gdzie blask przepychu z galanterją walczyły o lepsze, gdzie piękność kobieca najwyższym była tryumfem, nie było osoby, którąby się nie rządziła sympatjami lub antypatjami. Marja skorzéj jeszcze od innych dała się niemi powodować; i tak, pogardzała Katarzyną Medycejską, zwąc ją „kupcową Florencką“ a kochała sławną Dyanę de Poitiers, faworytę króla Henryka II-go.

Dyana de Poitiers była też rzeczywistą królową. Król nie mógł się obejść bez niéj, czyto na turnieju czy na balu, łowach lub dworskich przedstawieniach. Piękna, lubo 20 lat starsza od króla, pełna szlachetności, protektorka poetów, malarzy i rzeźbiarzy, władała słusznie sercem Henryka, chroniąc go może od niejednego zbrodniczego wybryku, od którego ród Walezych nie był wolny. Ona jedna może, aż do śmierci króla, nadawała dworowi pewien ton szlachetnego i rycerskiego obejścia; z jéj usunięciem rozlały się wszystkie niby długo powstrzymywana lawa, brudne i nikczemne dworskie intrygi i namiętności; rozlały się szeroką strugą niejednéj zbrodni, właściwéj epoce Katarzyny Medycejskiéj i sprawcom nocy św. Bartłomieja.

Wpośród to takiego różnolitego otoczenia, wpośród zmieniających się tęczowo balów, widowisk i wydarzeń tragicznych wstrząsających ówczesną Europą, zbliżała się Marja do jednego z najpiękniejszych tronów. Mówiliśmy już, że głównie skojarzyli małżeństwo Marji jéj stryjowie Gwizjusze, którzy bogactwem, osobistemi zasługami, starożytnością rodu, a głównie przewodniczeniem idei a témsamém i silnemu stronnictwu, wyrobili sobie pierwsze stanowisko po królu, wpływając potężnie na losy państwa, a zarazem i Europy. Książę d'Aumale brat jego, wielki przeor, hr. d'Elbeuf, zginali posłusznie czoło przed braćmi swymi: kardynałem Lotaryngskim, i najstarszym księciem, Francuzkim Gwizjuszem.

Henryk II wchodząc chętnie w plany Gwizjuszów, polecił przy akcie ślubnym Marji z synem swym Franciszkiem II, odbytym w dniu 4 kwietnia 1558 r., sporządzenie dokumentu nadawczego, mocą którego Marja odstępowała królom Francji praw swoich do tronu Szkocji i Anglii, w razie bezpotomnego zejścia.

Po nagłéj śmierci Henryka, zaszłéj jak wiadomo w skutek uderzenia tegoż na turnieju oszczepem w oko przez hr. Montgommery, wstąpił na tron młodziutki Franciszek II wraz ze swą ubóstwianą Marją. Gwizjusze stanęli wówczas u szczytu potęgi, rozdzieliwszy między siebie najpierwsze w państwie dostojeństwa. Zadrżeli z niecierpliwości wytępienia kalwinizmu, służącego im zarazem jako polityczny środek zniszczenia rodu Burbonów i Chatillon. Czyhali tylko na sygnał, podając ręce okrutnemu Filipowi II królowi hiszpańskiemu i papieżowi Pawłowi IV rzucającemu anathema. Protestanci przeczuwali co ich czeka, lecz nie spodziewali się opieki u tronu, na którym siedziała kobieta zfanatyzowana przez swych stryjów i ślepo im oddana.

Krwawe prześladowanie Hugonotów rozpoczęło się skazaniem na śmierć kalwina Du Bourga za to, że w obec dworu nie wahał się wypowiedzieć przekonań swéj wiary, godności i namaszczenia. Śmierć jego wzburzyła dość spokojnie dotychczas zachowujących się spółwyznawców. De la Renaudie, szlachcic Limuzyjski uorganizował spisek przeciw Gwizjuszom, prześladowcom jego wiary. Celem spisku było: owładnięcie osobą króla, bawiącego w Blois, zgładzenie ze świata Lotaryngczyków i postawienie księcia Kondeusza na czele rządu. Książę wszedł w umowę, a wielu szlachty przyłączyło się do spisku. Gwizjusze ostrzeżeni, przenieśli rezydencję króla z Blois do Amboise, jako miejsca lepiéj opatrzonego, spokojnie wyczekując dalszych wypadków. Sześćdziesięciu spiskowych mimo że ich uprzedzono o odkryciu, poprzysięgło dostać się do zamku Amboise jedną z furtek, którą im miano otworzyć; lecz Gwizjusze kazali ją zamurować, obsadziwszy natomiast licznemi i wiernemi hufcami przystępy w zamku.

Po krwawéj i rozpaczliwéj bitwie, w któréj de la Renaudie walczył na śmierć z bratem swym stryjecznym, katolikiem, pochwytani spiskowcy, poginęli prawie wszyscy. Hugonoci zawrzeli jednym okrzykiem zemsty i przekleństwa przeciw Gwizyuszom, z których liczby imię Marji Stuart nie było wyjętém.

Przekleństwo prześladowanych rychło wydało swoje owoce. Król po nader krótkim panowaniu, zmarł w roku 1560.

Płaszczący się dopiero-co dworacy i panowie odbiegli od zwłok tego, na którego łasce nie wiele im już zależało, a młodą piękną królowę dosięgnął pierwszy straszny cios, będący jakby prologiem ponurego dramatu jéj życia.

Cios ten uderzył ją w samo serce, bo ona kochała swego małżonka, który był zawsze na klęczkach przed najmniejszym jéj kaprysem. W liście pisanym do Filipa II hiszpańskiego dziękując mu za kondolencję, kończy temi słowy: ....„Bóg, który mnie pozbawił wszystkiego, com miała najdroższego na świecie, pomoże mi, abym zniosła dalsze z cierpliwością, ponieważ bez Jego pomocy, czuję iżby to nieszczęście było za wielkie na moje siły.“ Poczém zamknęła się w klasztorze św. Piotra w Reims, gdzie mieszkała jéj ciotka. Wkrótce jednak powróciła do Francji, aby ją poraz drugi i to już na zawsze opuścić. Wiele powodów skłaniało ją do tego, jakoto: rady stryjów naglących ją do objęcia tronu Szkocji, zaburzenia w Szkocji, ochota panowania i ukrócenia wpływu Anglii, a nareszcie oziębły i odpychający stosunek jaki istniał między nią a Katarzyną Medycejską, matką zmarłego króla. Chytra ta, na wskróś zbrodnią przesiąkła kobieta rzekła Marji wstępującéj na tron Francji z przybraną pokorą: „Idź przedemną, tyś teraz pierwsza“; zrozumiała przeto Marja, że teraz pierwsze miejsce już nie jéj się należy. Jakaż szkoda, że już dawniéj nie mogła uniknąć obecności téj włoskiéj trucicielki ciał i dusz niewinnych!

To też niecierpiały się z synową, która odwiedzając ją z pożegnaniem, czyniła to tylko ulegając dworskiemu ceremonjałowi.

Żegnała się biedna ze wszystkiemi miejscami, w których jéj życie przeszło aż dotąd tak błogo; żegnała się ze wszystkiemi pamiątkami swego pobytu, jakby przeczuwając, że ich więcéj nie obaczy; żegnała tę Francję, którą potém nadarmo przyzywała w nocach swych bezsennych, w marzeniach więziennych, w ostatnich chwilach przed śmiercią. Z bólem i ściśniętém sercem opuszczała Louvre. Świetne grono odprowadzało ją do Saint-Germain. Był w niém król sam, Katarzyna, książę d'Anjou, król Nowarry (późniejszy Henryk IV) i brat jego Kondeusz. Ztamtąd zaś aż do Calais, Gwizjusze sami przewodniczyli orszakowi złożonemu z pierwszéj szlachty Francji. Zwolna się posuwając, przybyła Marja do Calais z początkiem kwietnia 1561 roku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

a. δ. **Kronika.** — *Loterja fantowa. — Nudy. — Potrzeba wyjazdu za granicę — na wody. — Opera i o operze.*

Widocznie ogród Strzelecki, fantowe loterje i majówki — Opatrzność stworzyła dla kronikarzy. W rozmaitości téj czerpać można niby z pełnego kałamarza natchnienie, ale chcąc wszystkie podsłuchane półsłówka zebrać w pewną harmonijną całość, potrzebaby posiadać niemały mechanizm języka. A jak nieraz złośliwą uwagę można schwytać na koniec pióra!.... Gdybyśmy tylko byli złośliwi, ręczę, że najwyszukańsze nawet pragnienia amatorów skandalików brukowych potrafilibyśmy zadowolić. Nie chcąc przecież mieć brzydkiéj opinii plotkarza, — wszelkie rzeczy podsłuchane na loterji fantowéj i majówce strzeleckiéj schowamy pod pieczęć tajemnicy, rezerwując sobie tutaj jedynie tyle miejsca, ile potrzeba na kilka słów podziękowania pięknym i miłosiernym paniom, które nie szczędziły starań aby przyjść w pomoc nieszczęśliwym. Przyznać bowiem koniecznie należy, że wszelkie loterje fantowe są nader praktycznym pomysłem, do zachęcenia ludzi, których życie jest najmniéj filantropijném, aby także swój grosz niedopity rzucili na tacę dla biednych.

Gdybyś tak niejednego wonnego panicza natarł znienacka i zaklął go na wszystkie *asy* i *walety* aby kilkonastoma centami nakarmił umierającego z głodu, ręczę że salwowałby się *słowem honoru*... iż niema pieniędzy. Ale gdy zobaczy piękne fanty, z których niejeden przewyższa dziesięć razy wartością swoją cenę biletu... a nuż szczęście i wygra? zwłaszcza że to zupełnie jak na dwójkę pikową... panicz wonny *rezykuje* więc 50 centów i... jeżeli przegra ma prawo obywatelstwa w spisie miłosiernych dobrodziejów. Szkoda tylko, że gra tego rodzaju nieroznamiętnia krwi szlachetnéj jak *faraon*, i że *rezyko* skromniejszy ma zakres aniżeli przy zielonym stoliku, — bowiem więcéj nawet niżeli przyzwoitość każe zabrano fantów nierozprzedanych. Wprawdzie na obronę filantropów krakowskich Opatrzność zesłała deszczyk, który przerwał zabawę, — ale jakeśmy to zauważyć mogli, — i w czasie najpiękniejszéj nawet pogody publiczność niewiele entuzjazmowała się w szafowaniu nie serca, ale kieszeni na cele dobroczynne.

Za to majówka towarzystwa Strzeleckiego udała się zupełnie — deszcz nie wmieszał się do zabawy — a wszyscy z zadowoleniem wrócili do domu.

Mimo przecież majówek i wszelkich rozkoszy, które spolować można w Krakowie — mówią, że nudy śmiertelne panują niby jaka epidemja!

Nokturny słowicze rozlegające się po ogrodach nie zastąpią koncertów; — majówki nie wytrzymają konkurencji z balami i teatrem, a fantowe loterje nie mogą iść o lepsze z faraonem! — Tedy, co począć? — Jedyném lekarstwem na nudy letnie są wody zagraniczne — gdyby do Vichy, do Spa lub wreszcie do Baden? — mówi piękna żona — któréj, nie dosyć że potrzeba znaleść pieniędzy na podróż, ale co gorzéj, starać się o lekarza coby jaką chorobę wynalazł. A że o spazmy lub nerwowe słabości nie trudno, więc mnóstwo robi się przygotowań po obczyźnie. Wszystko tedy co ma jaką taką reklamę ładnego buziaczka stara się wszelkiemi siłami o grosze na

wody i studjuje spazmy lub urojone wady serca, by odetchnąć zagraniczném powietrzem, którego łyk tyle kosztuje na nasze austrjackie pieniądze co funt patrjotycznych frazesów zużytych już w 63 roku na giełdach poświęcenia.

Jest wszelako nadzieja, że i dla tych, którzy z braku spazmów lub groszy pozostaną w domu na pastwę nudom — zawita gwiazda jakiéj takiéj rozrywki — gdyż jak mówią, na parę miesięcy ma tutaj przybyć opera niemiecka. Szkoda prawda że nie *polska*, - ale zkąd jéj wziąść? — Gdyby chodziło o artystów, to najmniejszy ambaras, lecz ponieważ opera nic nie ma wspólnego ze sztucznemi fajerwerkami patryotyzmu, ani z *wielkiemi ideami* naszego stulecia — nic więc dziwnego, że nikogo głowa nawet nie zaboli, abyśmy chcąc słyszeć jaką nową operetkę, nie musieli jeździć do Paryża przynajmniéj, jeżeli już nie daléj. — Gdyby nie dobra opinja jaką mamy o sobie, zgodzićbyśmy musieli się na to: że albo katarynka jest metą fantazji naszéj, albo że dźwięk dukatów sprawia nam równe wrażenie co Rossini, Verdi lub Donizetti. Zresztą, nikt dzisiaj nie śmiałby się przyznać że kocha poezję, muzykę lub śpiew. Trzy te piękne przewodniczki wielkich narodów, napróżno kołatają do naszych serc i serduszek, po których jeżeli nie jakie spekulacje wędrują, to niezawodnie wieje z nich chłód i obojętność dla wszystkiego co tylko nie wpływa na podwyżkę papierów giełdowych.

Mody na **czerwiec.**

Opis ryciny.

Ubranie dla dziewczynki, składające się ze sukienki popelinowéj w kolorze lilla, ogarnirowanéj dwa razy falbanką w zęby. Mantylka czarna jedwabna z fontaziami w tyle i po bokach. Kapelusik lila krepowy z białym piórem.

Chłopczyk nosi majtki, kamizelkę i katankę z brązowego aksamitu obszyte czarną taśmą.

Trzecia osóbka ubrana w suknię ze stanikiem z Alpacci ciemniejszéj: wierzchnia sukienka z wyciętym stanem bez rękawów z takiéj saméj materji w jaśniejszym kolorze, podpięta rozetami ciemniejszemi.

Czwarta panienka ma suknię pod spodem w paski, na wierzchu gładką, ubraną czarnemi falbankami i podpiętą à Panier.

Dziewczynka sześcioletnia nosi sukienkę z paletocikiem z żółtéj piki, obszytą białą tasiemką.

Opis krojów.

Mantyla „Fernande“.

Fig. 1. Mantyla } — — — — — —
Fig. 2. Pasek }

Ukrojona mantyla zeszywa się na ramionach i w tyle, końce plecek układają się w trzy fałdy. Garnirunek lamowany atłasem oraz wiązany frandzlą, składają ozdobę tejże mantyli. Końce z przodu ozdobione są wachlarzami z materji układanéj we fałdy, nad któremi jest umieszczona duża rozeta, w tyle na pasku takiż wachlarz zakończony rozetą, z pod którego wychodzą dwie szarfy.

Suknia dla dwunasto-letniéj panienki (z ryciną).

Fig. 3. Przód koszulki }
Fig. 4. Plecy } • • • • • • •
Fig. 5. Rękaw }
Fig. .6. Spódnica o o o o o o
Fig. 7. Panier — • — • — • — • — •

Oznaczona lenja na koszulce zostawia do woli, obydwie części razem lub każdą z osobna ukrócić, i stosownemi znakami ze sobą połączyć.

Ukrojona spódnica zeszywa się podług glosek, również i wierzchnia spódniczka, któréj tylko bryty zmarszczone à Panier przedzielone falbankami czarnemi.

Płaszczyk na deszcz dla 10-letniéj panienki.

Fig. 8. Przód } ✲ ✲ ✲ ✲ ✲
Fig. 9. Plecy }
Fig. 10. Peleryna } • • • • • •
Fig. 11. Rękaw }

Każda część kraje się podwójnie z przeznaczonéj materji, zeszywa się stosownemi znakami ze sobą i tasiemką w około lamuje.

Paletot dla 6-letniéj dziewczynki (z ryciną).

Fig. 12. Przód }
Fig. 13. Plecy } × — × — × — × —
Fig. 14. Rękaw }

Peleryna do tego paletocika jest odznaczona lenją na fig. 10. z tą tylko zmianą, że się ją na ramionach i plecach we fałdy układa i fontaziami ozdabia kieszenie; paletocik i peleryna obszyte białym lub stosownym garnirunkiem.

Czepeczek „Marietta“.

Fig. 15. Denko × × × × ×

Czepeczek „Fanchonette“.

Fig. 16. Denko oo — oo — oo —

Czepeczek „Mignon“.

Fig. 17. Denko × • × • × •

Czepeczek ranny „Zerline“.

Fig. 18. Denko . . . .

Czepeczki te robią się z mulu, obszywają koronkami i ubierają fontaziami ze wstążek.

ODWROTNA STRONA ARKUSZA KROJÓW.

Mantylka dla 8-letniej dziewczynki (z ryciną).

Fig. 19. Przód
Fig. 20. Plecy } ××××××
Fig. 21. Pasek
Fig. 22. Szarfa • • • • • •

Fig. 19, 20, krają się podwójnie — 21 podwójnie w całości — zaś 22 cztery razy zeszywa się stosownemi znakami ze sobą i garniruje się falbanką, po bokach są szarfy spięte fontaziem, w tyle pasek spięty fontaziem z końcami.

Paletocik dla 3-letniej dziewczynki.

Fig. 23. Przód
Fig. 24. Boczek } ×·×·×·
Fig. 25. Plecy
Fig. 26. Rękaw } • • • • • •

Paletocik zeszyty garniruje się krepiną i podpina po bokach i w tyle fontaziami z krótkiemi końcami.

Ubranie dla chłopca.

a) **Majtki.**

Fig. 27. Majtki
Fig. 28. Listewka na guziki } — — — — —
Fig. 29. Pasek

Do zeszytych majtek daje się listewka na guziki zapięte drugą majtką opatrzoną dziurkami; na dole majtki ozdobione są guzikami i pentelkami z jedwabnego sznurka.

b) **Kamizelka.**

Fig. 30. Przód
Fig. 31. Plecy } 0 0 0 0 0 0 0

Plecy krają się z podwójnego perkalu, przody z aksamitku; gdy się wszystkie części zeszyją, robią się z przodu dziurki i na guziki zapinają. Plecy w stanie ściągają się na tasiemkę dla objęcia stanu.

c) **Katanka.**

Fig. 32. Przód
Fig. 33. Plecy } —•—•—•—•
Fig. 34. Rękaw ~~~~~~~~~~

Zeszyta katanka obszywa się dwa razy taśmą i na guziki zapina. Kieszonki z przodu obszyte także taśmą.

Opis wzorów.

Nr. 1. Wzór do wyszycia kieszonki dla dziecka.

Nr. 2. Wzór na poduszkę lub kolderkę. Można go wyszyć tasiemeczką lub jedwabiem na suknie, flanelu lub tybecie.

Nr. 3. Środek stosowny do Nru 2.

Nr. 4. Wzór na zasłonę lampy.

Nr. 5. Wzór do haftu na aksamicie lub skórze, stosowny na okładkę do Albumu.

Nr. 6 i 7. Szlaki ściegiem łańcuszkowym robione.

Nr. 8. Narożnik do Nru 6 i 7.

Nr. 9, 10 i 11. Ozdoby na kolnierze i mankiety.

Nr. 12. Wzór do haftu na skórze lub suknie na pantofle.

Nr. 13. Imię „Agnis“ z ozdobą do haftu na batyście.

Nr. 14. Szlak do poszewek, haft na płótnie.

Nr. 15 i 16. Szlak ściegiem łańcuszkowym robiony.

Nr. 17. Głoska F. z ozdobami } haft biały.
Nr. 18. Korona do tejże głoski

Nr. 19, 20, 21, 22, 23. Głoski A, M, S, T, I, haft francuzki.

Nr. 24, 25, 26, 27, 28, 29. Głoski A, L, M, G, F, P, haft atlaskiem wskośnym.

Nr. 30. Imię „Marianna“ haft biały na batyście.

---

† W dniu 25 b. m. odprowadziliśmy na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki ś. p. *Apollona Nałęcza Korzeniowskiego*, znanego zaszczytnie pracownika na niwie literatury ojczystéj, — a chlubniéj jeszcze jako męczennika sprawy narodowéj.

Nie miejsce tutaj, w tak małym zakresie naszgo pisma podnosić zasługi zmarłego. — Wyprzedziły nas w tém wszystkie organa naszéj prassy perjodycznéj. My chcemy tylko w tym krótkim wspomnieniu oddać należny hołd trudom, pracy i cierpieniom....

Ś. p. Apollo Korzeniowski urodzony na Podolu, po ukończeniu studjów gimnazyalnych i uniwersyteckich, oddał się zupełnie literaturze i nauce. Tłumaczył niektóre dramata Wiktora Hugo, pisał poezje, i z tego czasu znane są acz małemu tylko kółku przyjaciół i znajomych pieśni jego patryotyczne, któremi nietylko podtrzymywał ale i obudzał ducha narodowego w tych stronach zagarnionéj Polski.

Rok 1861 powołał go do czynnego udziału w sprawach ojczystych. Więc sercem i duszą całą poświęcił się usługom kraju, a jako nagrodę swego poświęcenia wziął tortury i wygnanie.

Więziony w podziemiach cytadeli warszawskiéj, następnie zesłany do *Wołogdy*, mężnie znosił los swój, i nie upadał na duchu. Wątłe jednak zdrowie musiało poddać się wyniszczającéj chorobie w skutek niezdrowego powietrza, a rezultatem tego była śmierć, która tak wcześnie, bo w 48 roku życia wydarła nam jednego z najzdolniejszych pisarzów, jednego z najzacniejszych mężów.

Nad mogiłą Korzeniowskiego podniósł jego zasługi w pięknéj mowie p. *Bylicki*, a do cmentarza odprowadziło trumnę liczne grono literatów i wielbicieli cnót zmarłego. Młodzież zaś akademicka i syberacy ponieśli ją na barkach własnych do grobu.

Pierwsza grudka ziemi rzucona na trumnę Korzeniowskiego, padła z sierocéj dłoni ośmioletniego synka jego — Konradka....

B-a.

*** *Stowarzyszenie przyjaciół oświaty w Krakowie* odbyło pierwszą konferencję dnia 24 b. m. w sali Rady miejskiéj w Krakowie. Na zgromadzenie to, które zebrało się bardzo licznie, przybyło także kilku obywateli oraz włościan z dalszych stron polski — mianowicie pan Henryk Schmitt deleg. lwow. stow. Oświaty ludowéj. — Z Prus Zachodnich pp. Czarliński, Dominierski i Ignacy Łyskowski. — Z Poznańskiego nikt nie przybył z powodu wyborów, które przypadły w tym czasie.

Franciszek Trzecieski wice-prezes stowarzyszenia zagaił posiedzenie mową, w ktoréj przebiegł historją zawiązania się Towarzystwa, a następnie wskazał trudności, jakie Towarzystwo to zwalczać musiało od czasu zawiązania się.— W czasie mowy swéj przedstawił zgromadzonym gości przybyłych na posiedzenie, których przywitano powstaniem z miejsc. W końcu p. Trzecieski zaprosił na przewodniczącego Dra Majera, którego zgromadzenie przyjęło żywemi oklaskami.

Po kilku słowach przemówionych przez Dra Majera, p. Zarański odczytał rozprawę *O środkach rozszerzenia oświaty*, która wywołała bardzo żywą dyskusję. W kwestji téj zabierali głos kolejno pp. Łyskowski, Dr. Kański, Ks. Wąsikiewicz, Estrejcher, Dr. Ściborowski i p. J. Dobrzański.

Poczém p. J. Szujski odczytał rozprawę o Oświacie ludu, pełną głębokiego poglądu na treść przedmiotu.

Nakoniec pastor cieszyński Dr. Otto mówił *O ważności kolporterji w pracy nad szerzeniem oświaty.* Następnie podniósł kilkoma gorącemi słowy pełną zasług pamięć ś. p. *Apolla Korzeniowskiego.* Zgromadzenie zaś uczciło pamięć zmarłego przez ogólne powstanie.

*** Dnia 10 czerwca r. b. wyjdzie na widok publiczny nakładem p. J. Wildta w Krakowie *Upominek dla dziatwy polskiéj, na pamiątkę Unii Litwy z Polską*, przez *Wł. Bełzę.*

Poemat ten przeważnie liryczny jak wszystkie utwory młodego poety, podzielony na sześć pieśni, z których wyjątek przytaczamy poniżéj.

Nie płacz, nie płacz synku drogi,
Żeś na ziemi swéj ubogi!
Że nie miecz ci ani radło,
Lecz tułactwo w doli padło, —
Żeś łzy tylko i cierpienia
Odziedziczył z twego mienia!

Przez Bóg żywy to fałsz dziecię!
Naprzód wziąłeś na tym świecie
To, co rodu twego znakiem:
Imię zacne żeś — Polakiem.

A czy wiesz ty, ile cześci
Krwi i sławy w niém się mieści?
Czyś policzył te rozwiane
Na kurchanach twoich krzyże?
I te stepy zaludniane
Braćmi twemi na Sybirze?

O! puść w niebo wzrok zuchwalczy!
Ile gwiazd się złotych wije:
Tyle ludu twego walczy,
Tyle pada — tyle żyje...
I nadstawia piersi krwawéj,
Dla imienia tego sławy!

Patrz: u proga krzyżem leży
Jakaś postać krwią oblana!
Wzrokiem wzgardy królów mierzy!
O poznałeś, twarz *Rejtana!*
Krew ci w piersiach wre namiętnij!
Pomnij synu, za tym wzorem
Życia swego pójdziesz torem, —
Z krwią, co w żyłach jego tętni.

Wpij w ten obraz oczy młode!
Pój nim twoją duszę czystą!
I leć orle na swobodę,
Na twą ziemię patrz ojczystą!

Pod Krakowem trzy kurchany,
Po trzech stronach lśnią Krakowa:
We dwóch legły dwa hetmany,
W trzecim cudna śpi królowa.

Rannym dzionkiem — za skowronkiem
Jakieś w niebo lecą głosy....
Pieśni płyną nad doliną,
Racławickie wieszcząc kosy.

Ciszéj, ciszéj, o mój mały!
Wszak to piosnka dawnéj chwały!
A tak złudnie w pierś się wkrada
I łzą czystą na twarz spada.

Ale czemuś zaćmił oczy?
I tak smutno patrzysz ku mnie?
Że wyglądasz wśród przezroczy
Jak aniołek biały w trumnie?

Coś ci jękiem pierś nadrywa?
Żwawiéj bije coś serduszko?
A z usteczek ci się zrywa:
To *Głowacki,* to *Kościuszko!*

O miéj ufność! Bóg dozwoli
Że ta dziatwa jednéj roli,
Chwyci jeszcze do swych prawic
Dzielne kosy z pod Racławic.

*** Prezydent m. Krakowa wydał odezwę do Rodaków, w której mówi o konieczności odbudowania *Sukiennic*, i odzywa się w tym względzie do patryotycznych uczuć narodu.

*** W Mysłowicach na jednym z przedstawień Teatru krakowskiego zaszły pewne nieporozumienia między Prusakami a Moskalami — wzięto się do tych ostatnich podobno trochę za gorąco, — i w skutek tego rząd JMci króla pruskiego zakazał dalszych przedstawień polskiego teatru.

*** W *Porębie* około *Dąbrowy* (w Polsce Kongresowéj) pokazała się przed niedawnemi czasy Matka Boska; — naród zaczął od pielgrzymek pobożnych, które całemi kompanjami napływały na miejsce cudu. — Przed kilku jednakże dniami gdy się liczniejsza masa ludu zebrała, wpadła szajka dziczy kozackiéj, i swoim zwyczajem rozpędzić chciała *buntowników*. Lud jednakże okoliczny wierząc więcéj aniżeli bojąc się nahajki moskiewskiéj, odwiedza miejsce, gdzie ma pokazywać się Matka Boża.

Katalożek bibliograficzny za miesiąc **maj**, z księgarni Wł. Jaworskiego w Krakowie.

Rocznik towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu za rok 1868. Paryż. 1869.

Siła przed prawem, broszura Al. Szczepańskiego. Kraków. 1869.

Obrazy Rusi czerwonéj przez Wł. Zawadzkiego, z illustracyami Juliusza Kossaka. Poznań. 1869.

W pałacu i chatce B. Auerbacha. Warszawa. 1869.

Zarysy historyczne skreślił Bernard Kalicki. Lwów. 1869.

Pius IX, pamiątka 10 kwietnia 1869 r. jako dnia 50-letniego jubileuszu kapłaństwa Ojca Ś-go. Królewska-Huta. 1869 r.

Gry i zabawy dla młodzieży, wydał K. Kozłowski. Poznań. 1869.

Piotr Skarga i jego wiek przez M. hr. Dzieduszyckiego, wydanie drugie, nakładem Wł. Jaworskiego, tomów 2. Kraków. 1869.

Siedm grzechów głównych, napisał ks. Feliks Gondek; I. Pycha. Nakład Wł. Jaworskiego. Kraków. 1869.

Rady dla dzieci ks. biskupa de Segur (o spowiedzi). Nakład Wł. Jaworskiego. 1869.

Korespondencya „Kaliny."

P. **B. Mi.** w Krakowie. — Nic a nic nie rozumiemy, czy Paweł śmiał się a Wirginja płakała, — czy Paweł płakał a Wirginja śmiała się. A ponieważ czytelnikom mało na tém zależy — drukować nie będziemy.

P. **Fil.** Kokieterja rytmiczna — wygląda jak tynkowany buziaczek.

P. **Lud. Sm.** w Ostrowie. — List objaśniający zapytanie posłany według adresu. Czy osiągnie skutek ręczyć nam niepodobna.

P. **Ed. Ł.** — Ciężkie czasy — na parnasy. Wierszowanie dziś nie stanie, za poezją i za czary. W wierszu pańskim brak jest miary. Obok tego sterczą wszędy — w ortografii straszne błędy!

☛ Do dzisiejszego Nru dołącza się dla prenumerujących **rycina mód oraz arkusz wzorów i krojów.**

Od Redakcji.

Od pierwszego lipca r. b. „**Kalina**" wychodzić będzie cztery razy na miesiąc objętości arkusza tego samego formatu. — Dokładając wszelkiego starania aby pismo nasze rozwinąć w kierunku literackim i artystycznym, będziemy w następnym kwartale zamieszczać od czasu do czasu drzeworyty wykonane w najlepszych pracowniach: *Styffiego, Münheimera* i *Ungra* z Warszawy — a mając zapewnione współpracownictwo kilku znanych zaszczytnie w piśmiennictwie naszém Literatów, spodziewamy się, że znajdziemy poparcie w Szanownéj publiczności Pięknéj, i jak dotąd — daléj cieszyć się będziemy łaskawém jéj zaufaniem.

☛ **Cena prenumeraty nie zmieniona.**

Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Prenumerata miejscowa „Kaliny" wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesyłką pocztową: rocznie: 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c. w. a.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Bracka gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencji „Czasu" księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.

W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa,** należy przesyłać wprost do Redakcji.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

W Krakowie. — W drukarni „Czasu" W. Kirchmayera.